

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 76

350

LUDWIK KONDRATOWICZ
(WŁ. SYROKOMLA)

JANKO CMENTARNIK

WYDANIE DRUGIE



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Cena 6 kop., 16 hal.

287
BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETOW LUDOWYCH 76

LUDWIK KONDRATOWICZ
(WL. SYROKOMLA)

JANKO CMENTARNIK

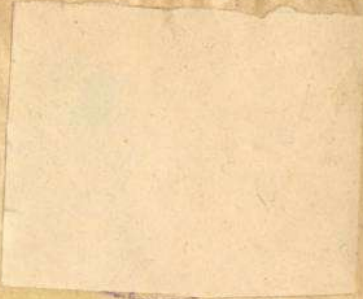
WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



KDN.
JAN.

350



PRZYGRYWKA.

W naszej wiosce za mych latek
Inszy bywał ruch;
I wesele, i dostatek,
Każde dziewczę gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum ludzie biorą,
Ale idzie coś niesporo —
Insze czasy masz!
Szarem kwieciem łąka kwitnie,
Pokarłały kłosa żytnie,
Zbladła ludziom twarz!

Czy w jesieni, czy to w wiosnie,
Były piękne dni;
Czy pracujem — serce rośnie,
Czy się bawim — to rozgłośnie,
Aż gospoda drży!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki, i do pracy —
Wiem ich siłę, wiem!

A ojcowie dzielni, starzy,
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem!...

Pójdę do nich: na mogile
Będę płakał rad;
Do nich miodu dzban wychylę
I pogwarzę słodko, mile
Z ludźmi dawnych lat.

I.

Jak ponad grobem wśród nocnej pory
Błądzą ogniki i meteory,
Tak dni ubiegłe, dawne dni nasze,
Zawsze uroczy promień opasze.
Choć one były zwykłemi dniami,
Ludzie ci sami i tacy sami,
I świat, i człowiek jedną miał dolę,
Chmury na niebie, troski na czole;
Niekiedy jutrzni promień szeroki
Rozjaśnił serce, przebił obłoki
I znów się ukrył za gęste mgliska;
Z niebios deszcz pada, z oczu łza tryska,
I tak się ciągle miesza na ziemi,
Chwilka pogody z dniami tęsknemi;
A jednak promień przeszłości złoty
Każe zapomnieć chmur i tęsknoty;
Gdy w tamtą stronę myśli pobiegą,
Rzewniej na sercu — Bóg wie dlaczego!
Rok dawno zbiegły dziwne ma wdziękil

Bo to rówieśnik naszej jutrzeńki;
A tamci ludzie dlatego mili,
Że w naszym życiu świadkami byli
Pierwszej pielgrzymki, kiedyśmy śmieli
Ku niewidomym¹⁾ celom lecieli,
Za motylami, to za kwiatkami,
Za wszystkim pięknem, co oko mamy,
Za wszystkim miłem, co serce pieści;
Nie tak, jak dzisiaj, gdy syn boleści,
Zaznawszy świata, głowę schyliwszy,
Co chwila mędrszy i nieszczęśliwszy,
Obarczon ciężką sakwą podróży,
Gdy mu dawniejsza siła nie służy,
Krwawiąc się cierniem i ostrem zieleń,
Idzie do celu — a grób tym celem.

II.

Święta jutrzeńko mojego rana!
Tyś była chmurna i opłakana,
Ot, taka sama i w każdym względzie,
Jak dzień dzisiejszy, jak jutro będzie.
A jednak, nie wiem, i skąd, i poco
Nad twem wspomnieniem światła migocą?
A przy tych światłach, gdy się rozmarzę,
Lubię oglądać dawniejsze twarze,
Miejsca, gdzie moje zbiegło zaranie,
Gdzie dzisiaj noga już nie postanie.
I patrzę czasem i gonię rzewno
Za ową barwą mglistą, niepewną,

¹⁾ T. j. niewidzialnym, ukrytym dla oka.

Za temi dachy, gdzie życie biegło,
Za tamtych świątyń znajomą cegłą,
Za tamtym wiatrem, łąki przekosem,
Za tamtych ludzi wzrokiem i głosem,
Z którymi niegdyś żyło się ściśle,
Łamiąc chleb bratni, mieniając myśli..

Gdy spracowane ramię zaboli,
Gdy pulsa życia tętnią powoli,
Człek ciężko westchnie: Boże, mój, Boże!
Tam świeżość dawną zyskałbym może,
Widok stron tamtych i tamtych twarzy
Zastygłe serce pewnie rozżarzy..
Śmieszne rojenia! puste gawędy!
Wszak czas i życie szły i tamtędy,
A tamte miłe dachy ze słomy
Pokrył mech siwy, mnie nieznajomy.
Drzewka, com niegdyś kochał, jak braci,
Musiały wzrosnąć w nowej postaci —
A cóż mi po nich? myśl ma pochmurna
Chciała w nich widzieć dawne konturna¹⁾,
A one wzrosły, jak wszystkie drzewa,
A wiatr tam dzisiaj inny powiewa,
Inaczej huczą kościelne dzwony,
Jeden rozbity, drugi zmieniony..
A twarze ludzkie? jak karta biała:
Tam każda chwila coś zapisała.
Nowe kolebki ściele niewiasta.
Co było dzieckiem — w męża urasta,
Co było mężem — dzisiaj skroń siwa,

¹⁾ T. j. postacie.

Co było starcem — w grobie spoczywa.
To jacyś obcy... nie chcę tych ludzi:
Ich widok tylko boleść mi wzbudził
Coś znajomego, coś mi się roi...
Lecz to nie tamci, lecz to nie moi!
Na twarzach zmarszczek głębokie żłoby,
Ślad wieku, smutków albo choroby;
Już głos dziewiczy, co ucho pieści,
Ostro dziś płynie z piersi niewieściej;
Głos męża silny, pełny słodczy,
Dziś w starczych ustach szepleni, syczy.
Człek przypomina, wsłucha się, wsłucha:
To obce dźwięki dla mego ucha!..
A sercaż ludzkiel jaka tam zmiana!
Widziałeś piękny zapal młodziana —
Dzisiaj tę duszę czyż poznać można?
Tak samolubna, taka ostrożna!
Widziałeś w niebo wzniesione oko,
Czytałeś w sercu wiarę głęboką,
A jakąż miłość kryło to łono,
Niewyczerpaną, niewyziębioną!
Lecz czego lodem zakuć nie w stanie
Grzech, doświadczenie, odczarowanie?
I już w tych piersiach, i już w tej głowie
Chłodna niewiara, straszne pustkowiel
Posłuchaj tylko, szydzi bluźnierca
Z dawniejszej wiary, z własnego serca..
Precz mi z tym człekiemi! ja go nie znałem!
A jam chciał wskrzesnąć jego zapalem!
A jego postać, ileż to razy,
Gdym w myślach kreślił przyszłe obrazy,
Tak promieniście i tak różowo

Przelatywała nad moją głową!...
Szatan nie człowiek!... za jakież winy
Skalał mój obraz, obraz jedyny
Młodej przeszłości, szczęśliwszej chwili,
Źródła, com sądził, że mię posili,
Że zwątpiałemu wróci nadzieje,
Że mię dawniejszym ogniem zagrzeje?!..

Och! jak boleśnie, och! jak boleśnie,
Że dzień wczorajszy nigdy nie wskrzesień!
Wczorajsi ludzie już dziś umarli,
A wiek się zmienia, przyszłość się karli!...
Chcesz zdłużyć chwilę, która ucieka?
Rozważaj przeszłość, ale z daleka.

III.

Jeśli ochota, słuchacze mili,
Dajcie mi ucho choć na pół chwili;
Starym zwyczajem w kółku słuchaczy
Powiem powiastkę, przygodę raczej,
Którą zasłyszał z ludzkiej pogłoski,
Prostą i rzewną — wiadomo: z wioski.
Czyńcie, co wola: śmiejcie się, płaczcie,
Dobre przyjmijcie, a złe przebaczcie.

IV.

Przed pięćdziesięciu czy więcej laty
Żył w jednej wiosce młodzian bogaty,
Hoży, wesoły — jeden z tych ludzi,
Którego serca nic nie wystudzi,

Co go nie stworzył Bóg na pieszczocha,
Co kiedy kocha, to szczerze kocha,
Co to do pracy rwie się ochotnie,
Co to przy pługu z rozkoszą potnie,
A kiedy hula, to z całej duszy,
Którego serce wszystko poruszy,
Co gotów stawić we dnie i w nocy
Pierś do uścisku, dłoń do pomocy.
Więc wszyscy brata widzieli w Janku;
A on zajęty był bez ustanku,
Temu, owemu, czy to, czy owo,
Jakaś gromadzką sprawą wioskową.
Kochał swą wioskę, chlubił się wioską,
Kochał rodziców duszą synowską,
Kochał swe pola i sianożęci,
Kochał rzeczulkę, co tam się kręci,
Kochał swe lasy i dymy chatnie,
Dla parobczaków miał serce bratnie,
Kochał na zabój dziewczęta młode,
Kochał kaplicę, cmentarz, gospodę.

I z tą miłością rodzinnej ziemi
Dobrze mu było między swojemi:
Bo jakoś zawždy na sercu gracko,
Doleń niedoleń dzieląc gromadzką,
Żyć ze wszystkimi, czuć bratnią spójnię,
To jakoś serce bije podwójnie.
Bywało we wsi śmierć kogoś bierze —
Janek jak dziecko spłacze się szczerze,
W obcym człowieku, co zszedł ze świata,
Jakby utracił ojca czy brata.
On dół wykopie, trumnę wyciosa,
Żałobną pieśnią grzmi pod niebiosą,

A jeśli krewni niedość bogaci,
Jeszcze bywało za pogrzeb płaci.

Za to gdy we wsi jakaś hulanka,
Za siódmą górą posłyszysz Janka:
To hucznie śpiewa, to w taniec ruszy,
Gromadzka radość tak mu do duszy.
On na weselach za družbę stanie,
On pierwszy oracz na dworskim łanie,
Przodowy kosarz na sianożęci,
Nigdy mu nie brak siły i chęci.

No! a na świecie różnie się plecie:
Czasem do bitwy przychodzi w lecie,
Zwłaszcza że wioska ustronna, mała,
Na spornych gruntach jakoś leżała,
Więc cudzopaniec ¹⁾ w dogodnej porze
Łakę przekosi, grunta przeorze,
Wpuści dobytek w niwę wioskową;
Groźba za groźbę, słowo za słowo,
Krzywda widoczna, a sprawa prędką,
To się i pobić przychodzi chętką.
No! różnie bywa: którejś niedzieli
Ten się podchmieli, drugi podchmieli,
Słówko za słówko, krew silniej bije,
Jakoś przychodzi grzmotnia na kije.
A drugi siedząc, niedługo duma,
Żal mu sąsiada, żal pana kuma,
Więc do pomocy! I z drugiej strony
Znowu się zjawi gość nieproszony,
I dwie gromadki starym zwyczajem
Gdzieś przy gospodzie grzmocą się wzajem.

¹⁾ Poddany — należący do innego pana.

Na taką grzmotnię w lichej godzinie
Niech-no się tylko Janek nawinie
I rzutem oka niech-no wybada,
Że tam chcą skrzywdzić jego sąsiada;
To własne życie już mu nie w cenie,
Choć na dziesięciu wpada szalenie,
A słabej stronie dając pomoce,
Potężną ręką jak cepem grzmoce.
I póty grzmoce dalej a dalej,
Aż przeciwników na ziemię zwali,
Piersi do piersi, a ramię w ramię,
Aż nim ich kije w trzaski połamie.
Słowem, czy w zgodzie, czy to we zwadzie,
Janek był pierwszy w całej gromadzie.

V.

Takie pierwszeństwo nie idzie z rodu,
Ani go zjednać za kufel miodu;
Lecz trzeba kochać, a sercem całem,
Trzeba być silnym duszą i ciałem, —
A czy to w wiosce, czy w wielkiem mieście,
Taką przewagę uznają wreszcie¹⁾.
Przewaga serca w inie przyjaźni
Najdumniejszego dumy nie drażni;
Wszyscy się chylą przed taką władzą,
Ochocze serca zawždy poddadzą;
A gdy już pierwsza przebyta próba,
Prowadź gromadkę, gdzie się podoba.

¹⁾ Zwykle — wreszcie.

VI.

I świetna była dola Jankowa,
Póki się we wsi rodzinnej chowa;
Lecz inszą dolę daly mu Nieba:
Panu hajduka było potrzeba,
Spodobał Janka, zabrał go z chaty
W obce wojwództwo¹⁾, aż pod Karpaty.
Żal rodzinnego było mu plota,
I wioska po nim będzie sierota;
Ojciec przeżegnał dobrego syna,
Gorzko płakała matka jedyna,
Chłopaki ucztę dali mu w domu,
Dziewczętom zucha żal pokryjomu:
Jedna, jak widać, smutniejsza nieco,
U drugiej łezki na oczach świecą, —
Wszyscy żalują — on głowę traci,
Dumny tym żalem swoich współbraci.
Z sercem rozdartem i bolejącem,
Z tysiącem wspomnień, z marzeń tysiącem,
Zakończył z braćmi ucztę ostatki,
Rzucił się do nóg ojca i matki,
Uściskał chłopców i dziewy młode,
Pożegnał kościół, cmentarz, gospodę,
Wsiadł na konika dworsko a raźnie,
Jeszcze się wszystkim skłonił przyjaźnie
I ruszył, świszcząc piosnkę kozaczą,
Pewien, że jego łez nie zobaczą,
I snuć marzenia zaczął powoli
O nowem życiu, o inszej doli.

¹⁾ Dawniej Polska dzieliła się na województwa.

VII.

Dobrze mu było na dworze pana:
Barwa ¹⁾ złocista i posrebrzana,
Spięty popręgą, w sutej bekieszy ²⁾,
Z kity u czapki wielce się cieszy,
Strzelba przez plecy, konik cisawy, —
O! taka służba jak dla zabawy!
Prędko się zucił celnego strzału,
I przyjaźń ludzka nie szła pomalu;
Pan go od razu polubił wielce,
Kazał policzyć pomiędzy strzelce;
Dworscy przyjęli braterską dłoń,
No, i dziewczęta niebardzo stronią.
Wesołe życie! jedyna bieda,
Że Bóg przeszłości zapomnieć nie da,
Że w dzień i w nocy tak sercem miota
Ta do rodzinnej skiby tęsknota!
Te ciągłe myśli o swojej strzesie,
Ptaszek pod skrzydłem chyba je niesiel
Słodkie powietrze ze swego świata
Chyba zdradziecko z wiatrem przylata,
Aby do reszty odurzyć głowę,
Ażeby serce drzeć na połowę...
Najpierwsze myśli, kiedy się zbudzi,
Posyła najprzód do tamtych ludzi:
Co oni robią? żywi? czy zdrowi?
Ojciec i matka, nasi domowi?
Nasze chłopaki, nasze dziewczęta?...

¹⁾ Barwa — liberja. ²⁾ Bekiesza — suknia pewnego kroju, krótka, dostatnia.

I kto tam jeszcze o mnie pamięta?
Czy tam wczorajsza doszła ulewa?
Czy wiatr którego nie złamał drzewa?
Tak była wąłła, tak pochyłona
Grusza przy chacie starca Szymona...
Co się tam stało z kościelną wieżą?
Kto tam rej wiedzie między młodzieżą?
Czy zawsze psisko u Pawła bramy?
Czy stary dzwonnik zawsze ten samy?
Och! coś mi serce niedobrze tuszy!
Musiał kto umrzeć, bo tęskno w duszy...

Gdy się w niedzielę świetnie ustroi,
Och! — myśli sobie — gdyby, tu moi,
Gdyby widzieli rodzice starzy,
Jak mi strzelecka barwa do twarzy!
Tożby zazdrościł, aż głową kiwa,
Wioskowy strojniś, Marcin Pokrzywa!
A dziewczki-ż naszeli nasze jagódki,
Tożby to uśmiech stroiły słodki!
Niby to z cicha, niby to skromnie,
Zawszeby jednak przyłgnęły do mnie...
O! gdzie tam, gdzie tam!... lepiej we świecie!
Proste jej sukno, proste uszycie...
Ja w stroju dworskim pomiędzy chłopcy
W rodzonej wiosce byłbym jak obcy;
Gdybym zawitał w takim ubiorze,
Pies-by domowy rzucił się może...
Nie chcę tej barwy złotej, zielonej!
Puście mię, puście w domowe strony!...

Tak często patrzył w stronę swej ziemi,
Stojąc z rękami załamanemi;
A chcąc zagłuszyć tęskność zdradziecką,
Myśli bywało: — Jakież ja dzieckol
Młodemu człeku, ot wielka bieda,
Że pan mi doma zagnuśnić nie dał
Cóż robić? tęskno po swej rodzinie,
Lecz to przeminie... Ej, nie przeminie!
Biednys ty, Jankul wioskowej głuszy
Nie trzeba było wrastać do duszy;
Kiedy raz wrosła, nie nie pomożem,
Już tej miłości nie wyciąć nożem!
Z taką tęsknotą, jak z karą Bożą,
Już i do trumny ciebie położył...

Są jedne dusze, które umieją
Ciągłe żyć światem, ciągle nadzieją,
A których serce wszędzie przyrasła:
Dzisiaj do wioski, jutro do miasta,
Dziś leć w powietrze, jutro płyn wodą,
Gdziekolwiek losy ciebie powiodą;
Wiosna im w maju, wiosna w oktobrze¹⁾,
Wszędy ojczyzna, gdzie jeno dobrze.

Są insze dusze, niby to święte,
Co burzą życia w obczyznę pchnięte,
Tęsknią do swoich, tęsknią i marzą;
Potem powoli, z zimniejszą twarzą,
Z gorzkim uśmiechem już winią nieba:
Cóż mamy począć? tak już potrzeba!

¹⁾ Oktober — październik.

A zresztą, mówiąc prawdą a Bogiem,
Konieczność musi stać się nalogiem,
Nałóg naturą: — radzi nieradzi,
Los, jak ogrodnik, gdy nas przesadzi
W Indyje Wschodnie, do Neapolu,
Pomimo cierpień, pomimo bolu,
Musim się zrosnąć z nowym klimatem.
Litwa — Neapol... nie idzie za tem:
Litwę u piersi jak dziecko nianczę;
Lecz w Neapolu są pomarańcze,
Tam cień oliwny osłania głowę,
A w Litwie tylko szyszki borowe.
Człowiek, rad nierad, jakoś przywyka
Do pomarańczy od słonecznika.
Nałóg — natura: więc co za dziwa,
Że mi smakuje bardziej oliwa?

Są insze dusze, głupcy, warjaty,
Co wolą słomę domowej chaty,
Co wśród pomarańcz i ananasów,
Co wśród palm — pragną sosnowych lasów;
Gminne ich zdrowie bardziej przywykło
Karmić się szczawiem lub swoją ćwikłą.
Poradź tu z grubą duszą Litwina,
Co swej dzikości nie zapomina,
Co swe lepianki, swych borów liście
Kocha ogniście, kocha wieczyście,
Który, rwąc z drzewa pomarańcz złoty,
Za szyszką sosen ginie z tęsknoty,
Co otoczony natury blaskiem,
Za dzikim borem, za żółtym piaskiem
Jak za kochanką goni kochanek! —
Tak się dziwaczył, tak tęsknił Janek.

Widząc na murach blaszane szczyty,
On wołał domek słomą pokryty;
Nieuleczony, dziwny szaleniec,
On w kraju pszenным śnił żyta wieniec!
Szkoda cię, Janku, w złoto przybrany,
Że do wioskowej tęsknisz sukmany,
Że gdy cię szczyci łaska bogacza,
Kiedy cię dworski przepych otacza,
Ku nędzy ojców strzelasz oczyma.
Zgubionyś, Janku! rady już niemal
Gdy raz gangrena ¹⁾ wpadnie do łona,
To już choroba nieuleczona;
Znane lekarzom takie zjawisko,
Nawet łacińskie nosi nazwisko.
Jedyną na to leczebną siłą
Oddech z powietrza, gdzie się rodziło.
Szklanica wody z domowej rzeki —
Albo ze szczęściem rozbrat na wieki.

IX.

Wrok coś niespełna, po wszystkich stronach
Poczęto gadać o legijonach,
Coraz to głośniejsze, coraz to szerzej;
Poczęła szlachta zbierać żołnierzy,
I kto sam jeden, i kto gromadką,
Marsz za granicę umykać gładko!
I pan Jankowy, żywej natury,
Kazał swym strzelcom uszyć mundury,
Dał nowe konie, szable i lance
I powiódł zastęp w dalekie krańce.

¹⁾ Gangrena — zepsucie krwi.

Janek wesoly poszedł w żołnierze,
A chociaż chęćka zapłakać bierze,
Lecz myśli sobie: — Niech płaczą dzieci,
Łza żołnierzowi mundur oszpecil
Skoczyłby teraz do swojej wioski
Wziąć pożegnanie z ręki ojcowskiej,
Przyjąć od matki medal święcony,
Pożegnać braci i swoje strony,
Uścisnąć szczerze dziewczęta z siola:
Ale już czasu nie było zgoła.
Zagrano w trąbkę — pan już na przedzie,
I pal z kopyta, gdzie oko wiedzie.

X.

Krwawo, ruchawo, jakby w zachwycie
Płynęło wtedy żołnierskie życie.
Dyktator Gallów ¹⁾ grzmiącemi słowy
Zagrał poemat wielki, dziejowy,
Z mnogich zastępów tworzył wyrazy.
Z hufców układał ogniste frazy ²⁾,
Takt jego piersi bije armata,
Za kartę użył połowy świata.
A każda fraza i każda głoska
Wrzała tak silnie, jak myśl mistrzowska,
Kipiała ogniem piersi człowieczej —
Nie dziw, że wielkie popisał rzeczy.
Krwawym zygzakiem przekreślił Rome,
Przekroczył Alpów urwiska strome,
Trącił o stare Piramid glazy,

¹⁾ Napoleon. ²⁾ Zdania.

Ziemię germańską przeszedł dwa razy,
Przerznął skalisty grzbiet Pireneil
A ludzkość, pełna nowych nadziei,
Patrząc na krwawy zygzak, co pała,
Charakter Boży na nim czytała!
To była tylko zwyczajna droga,
Którędy Tytan ¹⁾ szedł na półboga;
Wielki poemat, krwi, ognia, czynu,
Myślą nie wyszedł za obręb gminu,
Tylko że większy dał rozmiar pysze, —
A pycha Boskich dzieł nie napisze,
Czy biorąc słowa kolory bledsze,
Czyli kartaczem ryjąc powietrze.

XI.

Ludzkość w półboga swego wierzyła:
Zbrojnych miljonów olbrzymia siła
Stawała przy nim w jednej godzinie,
Leciała pędem, gdzie jeno skinie,
Porywa wirem, gdzie się zaczepi,
Co chwila wzrasta, coraz się krzepi.
Pod sklepieniami obcego nieba
Janek przy panu walczył, jak trzeba:
Współ z drugimi wstąpił z zaszczytem
Na groźne pasmo skał pod Madrytem;
Współ z drugimi zasługą czystą
Został mianowan starym gwardzią;
Gdy jego męstwo wodzowie chwałą,
Dostał wojenny krzyż pod Alhalą²⁾;

¹⁾ Niezwykły człowiek, bohater. ²⁾ W Hiszpanji.

W ziemi Rakuskiej¹⁾, gdzie Wagram pole,
Wziął chrzest żołnierski — ranę na czole.
Lecz się wyleczył — w szeregi staje,
I znowu poszedł w hiszpańskie kraje,
Gdzie niebo świetnym promieniem pała,
Gdzie pełno złota, gdzie trud i chwała,
Gdzie do zasługi niwa tak żyzna,
Gdzie najpiękniejszych dziewic ojczyzna.
Lecz tęsknych myśli z chrobrego czoła
Gwar obozowy wygnać nie zdoła.
W chwilach spoczynku śpią towarzysze,
A ich marzenia bitwa kołysze,
Śni się bój, zdobycz albo hulanka.
Insze marzenia na sercu Janka:
Choć w takt rycerski puls jego grzmoce,
On o swej wiosce śni całe noce,
W brzękocie bębnów, wśród trąb zgrzytania
Wiejski się obraz przed nim odsłania.
Słyszy kościelny dzwonek cichutki,
Słyszy skowronka piosnkę pobudki;
Słyszy, jak rybka pluska się w wodzie,
Słyszy strojenie skrzypiec w gospodzie;
Śpi na biwaku²⁾, na cudzej ziemi,
A dusza jego hula ze swemi!
Powiecie może: To rzecz wiadoma,
Janek zostawił kochankę doma.
Niel jeszcze serce było swobodą,
Opuścił wioskę zanadto młodo;
A w cudzych wioskach — pożał się, Boże,
Czyż piękne dziewczę zrodzić się może?

¹⁾ W Austrji. ²⁾ Biwak — obóz.

On lubił na wsi orszak dziewczęcy,
Ale nie kochał żadnej goręcej.
Kochanka jego to wcale inna,
Ona się zowie: wioska rodzinna,
Ze swem powietrzem, ze swoją wodą,
Z ludźmi, z kaplicą, z lasem, z gospodą,
Z wieczornicami i z doświtkami¹⁾,
Ze swoim niebem, swemi chmurami.

XII.

Przez lat pięć służąc w gwarnej żołnierce,
Janek zachował dawniejsze serce.
Zawsze w niem pieścił obraz swej wioski,
Zawsze śnił stary domek ojcowski:
Czy go zobaczy? i w jakiej doli?
Ot, może Pan Bóg kiedyś pozwoli,
Mile dla serca zaświta rano.
Wojskom w te strony ruszyć kazano,
Bo właśnie zapal najwyżej wzrastał,
Rok osiemsetny dwunasty nastał.
Cesarów orzeł skrzydła rozpina
Nad sztandarami Korsykanina²⁾;
Skinął na północ i na wschód słońca —
Dwadzieścia plemion, jak lawa wrząca,
Płonąc i sycząc, i zionąc parę,
Szło zburzyć Kremlu³⁾ wieżycę stare.
— »Pędem piorunu potok się leje!« —

¹⁾ Doświtki — ciemne ranki jesienne i zimowe, przed
świtem. ²⁾ Korsykanin — Napoleon (urodzony na Korsyce),
który był wtedy cesarzem. ³⁾ Kreml — twierdza w Moskwie

Tak o tej chwili pisały dzieje.

— »Żółw nas prześcignie w takim pochodzie!« —

Powiaდაł Janek, — ostrogą bodzie
I trenzlą swego wierzchowca spina;

»Ot już i Niemen, ot i rodzina,
Ot i powietrze stamtąd powiało,
Ot i zobaczę mą wioskę całą!

Toż mię otoczą roje gromadnel
Toż ojcu, matce do nóg upadnel
Powiem im, powiem z całym zapalem,
A gdzie ja byłem, a co widziałem.

Otóż się każdy ze mnie nadziwił
Bóg-że wie tylko, czy oni żywi?
Czy oni zawsze zdrowi, weseli?
Czy może o mnie już zapomnieli?!

XIII.

Niemen przebyli, przyszli do Kowna.

Już miota Jankiem radość gwałtowna,

Zdaje się, serce w piersiach nie mieści:

— »Już mi do domu mil ze dwadzieści!...

Dwadzieścia tylko, och! jak to mało!

Toż mię tysiącem mil przedzielało

Od moich miłych... gdybyż być w przodzie!«

I znowu konia ostrogą bodzie;

Ale hamuje chętkę swawolną,

Bo się z szeregu wymknąć nie wolno;

Wezmą za zbiega, zastrzelą może...

»Umrzeć w tej chwili!... Boże mój, Boże,

Kiedy już czuję rodzinną ścianę!

O nie! w szeregu lepiej zostanę!

Tak każe dola, poddam się doli...
Tylko że oni idą powoli,
Noga za nogą za przednią strażą...
Czemu im prędzej ruszyć nie każą?...»

XIV.

Nareszcie wojsko weszło do Wilna.
Nad głową Janka tęskność mogilna
Chmurno zawisła — szepce kryjomu:
— »Tylko mil osiem do mego domu...
Lecz cóż tam na myśl przyjdzie monarsze?
Kędy obróci wojenne marsze?
W prawo? czy w lewo?... Ależ broń Boże!
Pułk naszej wioski minąć nie może;
Wioska na lewo — tamtędy droga...«

Ale myśl władców, to jak myśl Boga,
Nieodgadniona, nieprzeniknięta,
Słowo ich prawem, wola ich święta.
Więc drżący Janek ileż to razy
Pytał u pana: jakie rozkazy
Z głównej kwatery? — Lecz pan nie zgadnie,
Którędy pułkom ruszyć wypadnie.
Przyszła na koniec karta złowroga:
»Dla konnych pułków na prawo droga;
Za dwie godziny wojsko wyruszy«.
Co się tam działo w Jankowej duszy
Trudno wysłować...

Od swojej niwy
Znów los odpycha nielitościwy!
Onaż tak blisko być się zdawała!

I znowuż lata lub wieczność cała
Przedzieli może nieszczęśliwego
Od miejsc, do których wciąż dumki biega!...
Chciał już uciekać — lecz honor drogi,
Wojskowa karność ma swe nałogi;
Kto tych przekonań raz pójdzie drogą,
Już go pokusy zachwiać nie mogą:
Pęknie mu serce, w oczach się ściemni,
Lecz nie postąpi jako nikczemni.
Janko, niezdolny postąpić podle,
Spuścił, jak martwy, ręce na siodle.
Spojrzał na lewo, gdzie jego niwa, —
Myśl pożegnalna, myśl rozpaczliwa
Pobiegła z wiatrem aż ku domowi:
— »Zostańcie żywi! bywajcie zdrowi!«

XV.

Niech ci powiedzą dziejowe karty,
Niech powie starzec na kiju wsparty,
Te straszne hufce jaką szły drogą,
Budząc po kraju nadzieję z trwogą?
Gdzie ich zwycięstwo, gdzie była klęska —
Spytaj Możajska, spytaj Smoleńska,
Spytaj u ognia, śniegu i wody,
Gdzie się podziały owe narody?
Na bojowiskach spytaj się kości,
Spytaj u Chwały, co w niebie gości.

Z tęsknotą w sercu, z raną na czole,
Janek podzielał z panem niedole;
Chrobrze, cnotliwie i nieszczęśliwie
Wiodło się obu na własnej niwie.

Panu pod Moskwą, gdy bitwa pała,
Kula armatnia ręce urwała;
Uniósł go Janek z pobojowiska,
Czuwał, aż ślady życia odzyska,
A potem niosąc służby ochocze,
Czuwał w szpitalu całe półrocze.
Gdy nieco zdrowia dano kalece,
Janek w troskliwej miał go opiece.
Na lichym wózku, w chłopskiej odzieży
I pan, i sługa, nędzarze szczerzy,
Jeden i drugi jak grób ponury,
Jechali skryć się w Karpackie góry,
A silna pogoń gnała ich w tyle...
Od wsi Jankowej tylko dwie mile;
Ale zmykając co bliższą drogą,
Ani na chwilę zboczyć nie mogą.
Tylko gdzieś w karczmie na pół spalonej
Spotkali czleka z tamtejszej strony;
Ten opowiedział wiernie Jankowi:
Że wszyscy żywi, że wszyscy zdrowi,
Tylko że ojciec jego już w grobie,
Tylko że matka jęczy w chorobie,
Tylko że w wiosce niedawnej chwili
Wrogowie kilka domów spalili,
Tylko się jakaś pobrała para,
Tylko runęła dzwonnica stara;
A co do reszty — laskawe Nieba,
W Jankowej wiosce wszystko, jak trzeba.

Janko na wojnie miał widok mnogi
Codziennych śmierci albo pożogi;
A serce jego, które nie mało

Ciężkich zawodów w życiu doznało,
Stało się twarde, płakać nie może,
Tylko zawołał: — »Boże mój, Boże!
Bądź wola Twoja zawsze i wszędzie!
O, ja mówiłem, że już tak będzie!
Ojciec nie żyje, a matka kona —
Już wioska dla mnie jakby stracona!..
Och! gdyby do niej choć na godzinę,
Błogosławieństwo przyjąć matczyne,
Widzieć grób ojca, znajome lice
I rumowisko starej dzwonnice!
Lecz niema czasu!« — Ruszyli dalej;
Pan słabnie w drodze; już pogoń wali.
Bohaterowie z Wagram, z Madrytu
Dzisiaj strąceni ze sławy szczytu,
Zranieni w ciele, zwątpiali duszą,
Z dworku do dworku tulać się muszą,
Gdzie tyle ofiar bolesnych ginie,
Wędrować muszą po żebraniu.
Przywędrowali w Karpackie góry:
Świetny dwór pański dzisiaj ponury,
Swego dziedzica żałośnie wita:
Droga zarosła, brama rozbita,
A na dziedzińcu głuche milczenie,
W komnatach śmierci wilgotne tchnienie;
A husiec pański zbrojny i strojny
Legł w różnych stronach dalekiej wojny.
Pan tylko z Jankiem zostali sami,
Z pogadankami, ze wspomnieniami;
Tylko w ich duszy zostały bole,
Rany na ciele, chwała na czole.

XVI.

Janek jak zawsze do swej ustroni
Tęskni kryjomo i łezki roni;
Ale powracać?? — pożal się, Boże,
Wbijać do serca kolce i nożel
Zresztą i tutaj taka odmiana:
Grzechby odstąpić chorego pana;
I on do Janka przywyknął szczerze,
Z niczyjej ręki jadła nie bierze,
Jeno z Jankowej, — szkoda go, szkoda!
Któż go nakarmi? kto napój poda?
Kto mu obetrze pot z jego twarzy?
Kto mu o sławnych bitwach pogwarzy?

Leżąc jak Łazarz w łożu boleści,
Pan długo konał — bo lat trzydzieści.
Przez lat trzydzieści aż do ostatka,
Jako piastunka, jak własna matka,
Janek pilnował łoża choroby
I przemyślał ulgi sposoby.
Karmił jak dziecię, bawił jak dziecię,
I już pokochał nad wszystko w świecie,
Nad własne życie, a nawet pono
Nad swoją wioskę — wioskę rodzoną!
Bo tam na wiosce niema już domu,
Tam niepotrzebny na nic nikomu;
A tu, gdzie cierpiał wódz jego stary,
Przykuł go święty łańcuch ofiary.
Zrazu — z łańcuchem przykro mu było,
Potem przyrosnął, a z taką siłą,
Że się ofiara stała nałogiem,
Stała miłości zachceniem drogiem.

Tak się zjednoczył duchem najściślej,
Że umiał zgadnąć, co pan pomyśli;
Sercem zgadywał, choć bez lekarza,
Czy się ból zmniejsza albo pomnaża,
Czy pan zasypia lub się ocyka.
Och! to nie zwykły hołd niewolnika!
Bo ci niewolnik na twarz upadnie,
Każdy kapryśny grymas odgadnie,
Przezna nałogi w latach niewoli,
Ale nie zgadnie, co ciebie boli,
Ani przepowie w długiej chorobie,
Czy będzie lepiej, czy gorzej tobie —
Co ból uśmierzy albo rozdrażni?
Och! dla miłości i dla przyjaźni
Nie korca soli, nie beczki chleba,
Ale cierpienia na próbę trzeba!
Kto bolał z tobą, albo nad tobą,
Jużbyś go krzywdził przyjaźni próbą;
Zawierz mu śmiało życie i zdrowie,
On twój na wieki — bezwarunkowie!

XVII.

Tak Janek przeżył i stał się stary
Z jednym uczuciem — z duchem ofiary;
Lecz w przeznaczeniach jego żywota
Samo sieroctwo, sama tęsknota.
Biedny pan jego spoczął w mogile;
Janko, co nad nim czuwał lat tyle,
Co własne życie wlewał mu w łono,
Z którym go zda się duchem spojono,
Ciężko zaniemógł. Już się zdawało,

Że duch opuści znękanę ciało;
Bo już na pana swego pogrzebie
Janko pochował połowę siebie,
Połowę myśli i całą wolę,
Jak niedołężne stał się pacholę.
Tak zielsko chmielne, wyciekłe, chore,
Gdy mu odejmą jego podpore,
Chwieje się, pada, blednieje, ginie,
Jak zateśknione po swej tyczyni! —
Tyka wspierała gałązkę chorą,
Janek dla pana sam był podporą:
Wiednieje, dręczon boleścią srogą,
Ze nieść ofiary nie ma dla kogo,
Ze już nikogo nie ma na świecie
Karmić i niańczyć, jak małe dziecię!
Po osłupiałej Janka postaci
Możnaby sądzić, że rozum traci.
Wybladły, naksztalt nocnego stracha,
Sam z sobą gwarzy, rękami macha,
Udaje bitwę, szykuje rotę,
Śpiewa piosenkę dawnej ochoty,
Niby wystrzela... i marzy Janek
O czarnych oczach młodych Hiszpanek,
O pięknem niebie tamtejszej strony;
I znowu inną myślą wiedziony,
Idzie na atak, prowadzi więźnie,
Woła o pomoc, że w śniegach grzęźnie,
Niby to wiezie pana w podróż, —
Niby to panu w chorobie służy,
Albo prowadzi orszak grobowy...
Wtedy się skarży na boleść głowy,
Że tam szum jakiś, coś jęczy, brzęczy...

I już nastawał moment szaleńczy,
Gdzie nie rozumu w przeżonym nerwie
Już się na zawsze starga i przerwie.
Ale w tym szumie, jęku i brzęku
Inny nerw życia drgnął pomaleńku:
Coś jakby szelest daleki drzewa,
Coś jakby piosnka, co słowik śpiewa.
Ale ten szelest, czy piosnki nuta,
To coś dawniejsza, coś nie popsuta,
Coś taka sama, jak to bywało,
Echo w powietrzu rodzinnem grało.

»Tak... to powietrze rodzinnej niwy,
A to skowronek, zwiastun życzliwy,
Tam szelest sosny, tam polnej gruszy,
A tam od łąki rożek pastuszy,
A tam ze zbożem skrzypią woziska,
A tam szczekają znajome psiska,
Tam wóz plebana turkocze drogą...
Boże, mój Boże! jakże mi błogo!
Jakiś ty dobry, Ojcze i Panie,
Za to rodzinnych dźwięków przysłanie!

Uklęknął Janek, łzami się zalał, --
Już jego biedny rozum ocalał:
Miłość swej wioski i swojej strony
Wróciła wskrzesić duch przygnębiony,
Zagrała w piersiach na dawną nutę,
Pokutnik skończył swoją pokutę.
Już pan nie żyje — któż mu zabroni
Wrócić na starość do swej ustroni?
Ludzie się dziwią: skąd taka zmiana?
Skąd ta przytomność niespodziewana?
Skąd taki spokój na Janka twarzy?

Czemu sam z sobą teraz nie gwarzy?
W końcu się czując zdrowszy i żwawszy,
Zniknął, nikogo nie pożegnawszy;
Myślą, że poszedł po żebraninie,
I pamięć o nim we dworze ginie.

XVIII.

A on z tłomokiem, z wyniosłą głową,
Wybrał się w podróż ze stumilową.
Miał zapas grosza; lecz się nie lęka,
Że go obedrze zbójecka ręka,
Bo w Słowiańszczyźnie cześć siwej brodzie;
Zajdzie gdzie na noc, spocznie w gospodzie,
I gdzie przed świtem w porannej głuszy
Dalej w pośpieszną podróż wyruszy.

XIX.

W miesiąc od wyjścia Janek szczęśliwy
Już był na wzgórku rodzinnej niwy;
I jako pielgrzym, kiedy postrzeże
Jerozolimskie najświętsze wieże,
Upada na twarz — jakowaś siła
Janka na ziemię jakby rzuciła.
Zaśmiał się, krzyknął, lzy słodkie roni:

— »Otóż i wioska! otóż i oni!
Otóż ja przy nich! otom u celu!
O dobry Boże! o Zbawicielu...«
Podniósł się, spojrział z twarzą żalosną:

— Gdzie nasza chata? tam drzewa rosna!
Ojciec już umarł, umarła matka...

Ależ brat starszy! ależ gromadka!...
A gdzież kaplica? Gdzie chatka stróża?...
Gospoda nowa... a jaka duża!...
Konie się pasą — niedzielna pora,
A gdzież jest biały konik Hrehora?
Musiał go sprzedać — źle zrobił... szkoda!
Żwawy był konik... a krew nie woda...
Skąd się tu wzięły te nowe grusze?
Dawniej nie było — pamiętać muszę:
Tam stała dawniej ponad mogiłą, —
Cóż się tam zawsze ptactwa gnieździło!...
Biedny ja człowiek!... Boże kochany!
Jakież tu zmiany! jakież tu zmiany!
Gdzie stary olszniak? pod samym wjazdem
Kto zrabiał olchę z bocianiem gniazdem?...
A jakie zboża! patrzeć żałośnie;
Toż to bywało, w człowieka rośnie!...
Strumień powęzał — błoto na drodze...
O nieszczęśliwy! co ja znachodzę!
Gdzież moja wioska, drzewa i strugi?...«
Janek się zachwiał — i po raz drugi
Upadł na ziemię, płacząc boleśnie:
— »Och! dusza moja tutaj nie wskrzesnie!«

XX.

Wszedł do gospody. Tam, jak w niedzielę,
Już się zebrało narodu wiele.

— »Dziewczęta, chłopcy... Czy mi się marzy?
Tu ani jednej znajomej twarzy!...
Dobrzy wy ludzie! — spyta nieśmiało —
Czy wy tutejsi? czy mi się zdało?

Czy jestem we śnie?»

— »A waść kto taki?» —

Poczęły pytać wiejskie chłopaki.

— Jam Janko Skiba — czyż mię nie znacie?
Mieszkałem niegdyś w końcowej chacie...
Gdzież moja chata?»

— »Pijanyś chyba,
W tej wiosce żaden nie mieszkał Skiba«.

— »Jakto nie mieszkał? — drugi odpowie —
Słyszę, tu żyli dawniej Skibowie,
Ale wymarli, — pewnie ich niwa,
Co Skibowszczyzna dziś się nazywa;
Tam pustoszą dworska«.

— »Gdzież Szymon Żłoba?»

— Ten dawno umarł; synowie oba
Żyją przy studni, tam, w nowej chacie.
Otóż i oni, jeżeli znacie«.

— »Nie znam tych twarzy!... A Piotr Siekiera?»

— »Ten jeszcze żyje, ale umiera:
Starość nie radość, a śmierć na dziady!«

— On był najmłodszy z naszej gromady,
Lubił tańcować« —

Tu śmiech bez miary:

— »Co się wam święci, żołnierzu stary?
Toż on, już pewno dziesięć lat minie,
»Chodzi na szczudłach po żebraniach!«

Janek umilknął, — z pochmurnem czołem
Kazał dać kwartę, zasiadł za stołem,
I jak swych braci dobrze pamięta,
Pytał o chłopców i o dziewczęta.
Za każdym razem śmiech bez ustanku:

Bo tamci ludzie, rówieśni Janku,
Jedni pomarli, drudzy stąd wyszli,
Nowej gromadzie już ani w myśli;
A z tamtych dziewcząt gromady całej
Dwie stare babki ledwie zostały.
Janek już nie śmie pytać o więcej;
Krew w jego piersiach bije goręcej,
Wychyli czarękę i gorzko duma:
Tu każdy brata, każdy ma kuma,
A on nikogo znaleźć nie może!

Wtem jeden wieśniak, człek już niemłody,
Przyszedł ku niemu z końca gospody:

— »Panie żołnierzul tutaj przy kwarcie
Muszę pomówić z wami otwarcie.
Czy wy doprawdy tę wioskę znacie?
Czy, jak to mówią, drogi pytacie?
Lecz, jak uważam, znana wam strona,
Znacie nazwiska, znacie imiona,
Czy wy ze Skibów który jesteście?
Czy dawno z wioski?«

— »Już lat czterdzieście«.

Tu młodzież znowu śmiechem wybucha:

— »A w imię Ojca, Syna i Ducha!
Szalony człowiek! jemu się zdało,
Że znajdzie swoją gromadę całą!
Piotr, żebrak, skacze ze starą Martą!
A dalipan, że popatrzeć wartol!
Marta jedyna dzisiaj do płasak«

Tu stary Janek pokręcił wąsa,
Pogłaskał brodę, stuknął w stół lichy,
Że aż skoczyły na nim kielichy,

I krzyknął męskim z Austerlitz głosem:

— »Wara mi bluźnić jam nie młokosem!
Na gorzkie jabłko pogrzmotam plecy,
Kto sztydzi z Piotra, — to wy kalecy!
On (jeśli wierzyć) na nogę chromie, —
U was kalectwo znacznie widomie,
Kalectwo w głowach!... Kto zbłąźni Marcie,
To go na rękę wyzwę otwarciel
To było dziewczę cnotliwe, pięknel
Kto mi zaprzeczy, nic się nie złęknę,
Zbiję dziesięciu!...«

Młodzież pobladła.

— »To jakaś sztuka srodze zajadła!« —
Pomruknął jeden, a drugi doda:

— Uważasz, kumiel to krew nie woda!
On tak dowodzi — i prawda może,
Ze stara Marta to dziewczę hoże...
Niech i tak będzie, jeśli wypada!«

Kiedy tak z cicha szepce gromada,
Janek łzę otarł, co w oczach świeci,
Wychylił czarkę:

— »Dzieci wy, dzieci!
Nie znam was wcale, bo wy nie moi.
Ta wioska dzisiaj inaczej stoi.
Z waszymi dziady dobrze się znałem,
Z waszymi ojcy piłem, hulałem —
Ja do nich pójdę... Hej! kto chce złota?
Komu na cmentarz służy ochota,
Niech mi pokaże z odwiecznych śladów,
Gdzie kości waszych ojców i dziadów!
Do nich mi trzeba, do nich — i kwita;

Stary znajomy niech ich powita,
Niechaj w ich uszach głos mój zadzwoni —
A Janka Skibę poznają onil
Do nich mi jeszcze przepić potrzeba.
Hej, gospodarzu! Daj miodu, chleba...
Chleba i soli, tak zwyczaj każe,
Że wszyscy nowych chat gospodarze
Z chleba i soli podarek biorą...
Jam tu do wioski przyszedł dopiero...
A jeśli wszyscy życzliwi ku mnie
Nowe mieszkania obrali w trumnie,
Pójdę z podarkiem — będą mi radzi...
Hej! kto na cmentarz mnie zaprowadzi?»

I dwa dukaty ze trzosa miota.
Żaden z gromady nie tknął się złota,
Lecz jeden z włości rzekł, chyląc czarę:
— »Ja ci pokażę grobowce stare«.

Janek, kipiący i odmłodniały,
Wziął kufel miodu, kufel gorzały
I z przewodnikiem w znane rozdroże,
Na stary cmentarz śpieszy, jak może.

EPILOG.

Nocował na cmentarzu, — a kiedy się zbudzi,
Rozpytywał po wiosce o dawniejszych ludzi;
Znalazł chorych dwóch starców, których zapamięta,
I dwie stare niewiasty — dawniejsze dziewczęta.
Przy nich szukał wytchnienia upragnionej chwili,
Lecz i oni, jak wioska, strasznie się zmienili:
Życie wionęło chłodem do ich starej duszy;
Jeszcze radzi pogwarzyć — lecz nic ich nie wzruszy;
Czas wyciska swe piętno i zarówno plami
Ich serce samolubstwem, jak czoło zmarszczkami.
Janko, co znał ich dusze w dawniejszym rozkwiecie,
Co się cieszył z początku, że tleje w nich życie,
Gdy widział, jak ich postać zmienia się i karli,
Pożałował, że jeszcze i ci nie umarli.
I na zawsze zaniechał wdawać się z żywemi:
Jego świat, jego wioska, leżą w głębi ziemi!
Najął chatkę — i co dzień ledwie jutrznia świta,
On się zrywa z pościeli, o jaćło nie pyta,
Zachodzi do gospody, bierze flaszkę miodu,
Aby z ludźmi, z którymi żyło się za młodu,
Przepić na ich grobowcach. — Tak co dzień a co dzień
Zawsze go na cmentarzu spotykał przechodzień;

A płocha kupa dziatwy, co przed starcem znika,
Nadała mu przezwisko *Janka Cmentarnika*.

Znano jego sukmanę i barki pochyle;
Co dzień *Janek Cmentarnik* idzie na mogiłę,
Kłęką przed jakim krzyżem i miód z kufła chyli:
— »W ręce twoje, Hrehory! Pij wesół, Wasylil
Czy pamiętasz, Hrehory? tyś był zuch do spółki!
Służąc do mszy, jak wino piliśmy z ampułki?¹⁾
O ja ciebie lubilem, nazywałem swoim.
Nieraz my z tobą, bracie, całą wioskę poim;
Tyś ostatkiem z bliźnimi podzielić się gotów,
Ale masz jedną wadę: skoryś do zalotów.
A kochać, mój Hrehory, powiem rzecz otwartą,
Mężczyznę czy niewiastę — to niebardzo warto.
Na dwoje babka wróży — w miłości, mój bracie,
Albo zawód dla serca, lub żal po utracie.
Ja przynajmniej nie myślę pokochać na nowo!
Tu Janko machnął ręką i pokiwał głową,
Odszedł i do drugiego grobowca się chyli:
— »Wasylil Czy ty słyszysz? Czy ty śpisz, Wasyli?
Ty chciałeś być żołnierzem, — zapalonyś nieco;
Ty chciałeś widzieć wojnę, jak to kule lecą!
Wiesz, Wasyli? ja byłem w hiszpańskiej krainie,
Byłem w Niemczech, w Smoleńsku, wszędy, gdzie
[krew płyniel
Czy ty wiesz? To niestraszno! Leci pułk zuchwalczy,
Wierząc w Boga i wierząc w to, za co się walczy.
Kule zwyczajnie... lecą... no... może zabijają;
Ale tego, kto wrócił z niezłamaną szyją,

¹⁾ Ampułka — naczynie do wina, używane do mszy.

Jaką witają cześcią, jakimi krzyżami!
Szkoda!... szkoda, Wasyli, żeś ty nie był z nami!
Przyniosłem miód dla ciebie, — w ręce, mój Wasyli,
Lecz prawda, tyś umarły — Janek sam wychyli.
Nowe czasy nastały! Gdzie skryć się przed zgrają?
Tutaj mię *Cmentarnikiem* ludzie nazywają!
Bo cóż poradysz sercu? Ja tu z wami gwarzę;
Mój dom, kościół, gospoda — to wasze cmentarze.
I u mnie w sercu cmentarz, my pokrewne trupy.
Cóż za dziw, że wolimy schodzić się do kupy,
Niżli rękę żywego ściskać w bratniej dłoni?
My nie dla nich, Wasyli, i nie dla nas oni!

Tak od grobu do grobu, pijąc, plotąc baśnie,
Janek spłaczę się — spłaczę i na koniec zaśnie.
Na noc wraca do chaty — nazajutrz to samo.
Lecz w rok po śmierci pana, pod cmentarną bramą
Znaleźli z kuślem w ręku już nieżywe ciało,
A miodu ani kropli w kuflu nie zostało.
Nic tedy po szaleńcu młody świat nie wskóra...
Ej, ten *Janek Cmentarnik* — pocieszna figura!

	hał.	kep.
121. Kubala L. dr. Biłża pod Beresteczkiem	40	15
122. — Obłężenie Złoczowa i pokój pod Zborowem	32	12
123. Szajnoski Karol. — Młoda królowa Jana	20	8
124. — Barbara Radziwiłłówna	32	12
125. —	20	8
126. —	16	
127. —	32	
128. —	20	
129. —	26	
130. —	20	
131. —	26	
132. —	32	
133. —	26	
134. —	40	
135. —	20	
136. —	20	
137. —	20	
138. — Panna Róża	26	10
139. Rodziewicz. M. Rupiecle	20	8
140. — Kamienie. — Ciotka. — Wpisany do heroldyi	20	8
141. Konopnicka M. Z Liryk i obrazków	26	10
142. Niemcewicz J. U. Spiewy historyczne	40	15
143. Mickiewicz A. Sonety Krymskie. — Farys	16	6
144. Krasiński Z. Liryki. (Wybór)	26	10
145. Brodziński K. Włesław	16	6
146. Kondratowicz L. Szkolne czasy	20	8
147. Słowacki J. Liryki. (Wybór)	26	10
148. Malczewski A. Marya	26	10
149. Fredro A. Pan Geldhab	26	10
150. — Zemsta za mur graniczny	50	20
151. — Sluby panieńskie	50	20
152. Karpiński Fr. Wybór poezyi. Książnica D. Wybór poezyi	40	15
153. Korzeniowski J. Mnich. Tragedya	40	15
154. Krasiński J. Satyry i listy	26	10
155. Naruszewicz A. Satyry	26	10
156. Słowacki J. Księżę Niezłomny	40	15
157. Schiller F. Wilhelm Tell	45	20
158. — Dziewica orleańska	50	20
159. Byron. Glaur	26	10
160. Schiller F. Marya Stuart	65	25
161. Byron. Manfred	26	10
162. — Więzień Czylonu	20	8
163. Szymański A. Stolarz Kowalski	32	12
164. Słowacki J. Anelli	26	10
165. Krasiński Z. Przedawit	20	8
166. Mickiewicz A. Konrad Wallenrod	26	10
167. — Grażyna	26	10
168. Szekspir W. Sen nocy letniej	50	20
169. Świętochowski A. Hymn plemnych. — Woly	20	8
170. Dynowska M. Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego	40	15
171. Szekspir W. Hamlet	72	30
172. — Makbet	48	20
173. — Romeo i Julia	48	20
174. — Król Lir	48	20